

Skrzydła

Gdy miałam pięć lat, przyniósł atlas ptaków, w którym na czarnobiałych fotografiach rozpoznawałam dziesiątki gatunków, ku uciechu znajomych i rodziny. Potem przynosił zwierzęta. Czasem kalekie, chore, czasem martwe - wypchane, zatrzymane w locie, w pędzie. To tylko kukły, a bałam się ich, kiedy nocą ujawniały w mroku błyszczące ślepia, kły i pazury. Powszedniały w świetle dnia. W Jego rękach martwe opowiadały niestworzone historie, a chore zdrowiały i wracały do lasu, na łąki lub pola. Jak mała, biała, wystraszona sowa płomykówka, która darła bieliznę suszącą się nad ciepłą blachą kuchni. Gdy skrzydło się zrosło, wyfrunęła z Jego rąk w zimną, wiosenną noc. Bez żalu, bez słowa podziękowania, nie obejrzawszy się nawet na nas, stojących na progu domu.

Tyto alba - do dziś słyszę łopot jej skrzydeł. Widzę niepewny lot w stronę nocy. I czuję lęk. Lęk przed tym, co odlatuje i nigdy już nie wraca. Lęk, że ja też wyfrunę i zapomnę razem z pierwszym uderzeniem skrzydła, skąd lecę i dlaczego.

Powieki mam ciężkie. Tak ciężkie jak oddech. Miarowe rżenie klatki piersiowej zmuszanej siłą woli, by nabierać i wypuszczać powietrze odmierza czas na oddziale ratunkowym. A powietrze ma zapach plastiku i chemii. Sterylnego destylatu powstającego w warunkach laboratoryjnych. Nie ma nic wspólnego z pracowitą filtracją dokonywaną przez florę ani z zanieczyszczeniami wywołanymi oddechem ludzi, zwierząt i fabryk.

Wpatruję się w sklepienia powiek. Krwistoczerwone, gdy pada na nie światło, ciemno bure, gdy gaśnie dzień w szpitalnej sali. Coś lodowatego sączy się z kroplówki. Oddaje po drodze leniwym drogom żył swoje zimno. Ogrzewa się, zdążając w stronę serca, które pchnie tajemniczą substancję do autostrady tętnic, a stamtąd popłynie ona wprost do mózgu. Przed chwilą pielęgniarka w szarym od nieostrego światła mundurku podpięła do mojego krwiobiegu kolejną butlę, a do nosa rurki wypełnione pachnącym burzą tlenem. Padło standardowe:

- I jak? Lepiej się oddycha?

Kręcę tylko przecząco głową. Nie tłumaczę, że nie oddycham, tylko świadomie wpycham w siebie tłuste kęsy nasączonego lekami powietrza. Połykam je bez apetytu i przetrzymuję w płucach, aż zajdzie wymiana gazowa. Potem wypluwam jak anorektyczka pokarm. Szybko i ze wstrętem, wydając przy tym dźwięki przypominające skrzypienie kościelnych drzwi.

W odpowiedzi pielęgniarka zwiększa szybkość spadania kropeł, które teraz zlewają się w jednostajny strumień popychany napędce w dół przez grawitację, a potem przez krwiobieg w górę, głębiej we mnie.

- Zaśnie pani i oddech szybciej się uspokoi. - Słyszę głos spoza ściany kropeł kipiących i dobijających się do tam w mózgu. - Saturacja do rana się poprawi i wtedy...

Chcę powiedzieć, że nie mogę spać. Muszę czuwać, pilnować oddechu. Jeszcze tyle mam do powiedzenia, do napisania. Muszę wsiąść w stojący na parkingu samochód, jechać do domu i wrócić na oddział, żeby Go odwiedzić. Obiecałam Mu, że jutro będę. Uchylam powieki, a może usta, i w tym samym

momencie tamy ustępują i wypełniam się wodą. Nie mogę mówić, łykam tylko płyn jak tonący, który łądzi się, że pochłonie zabójczy nadmiar. Ale żołądek jest o wiele za mały, by pomieścić hektolitry strachu. Jeszcze chwilę dryfuję na fali odmierzanej kroplami powodzi. Jeszcze widzę, jak biała sowa odlatuje, zostawiając mnie na szpitalnym łóżku. Potem unoszę się i opadam na falach chemicznej powodzi zalewającej zmęczony bezsennością umysł.

Gdzieś pomiędzy nocą a snem, w wąskiej szparze czasoprzestrzeni otwartej przez czyjś rozpaczliwy krzyk, przez tupot nóg na szpitalnym korytarzu, wracam do tamtego światła słonecznego odbitego od białego fartucha lekarskiego. Anioł śmierci nie powinien być naznaczony cieniem? Ten drwiąco jaśniał, oślepił, onieśmiał. Przedwczoraj mój świat zredukował się do tego świetlistego punktu. Do wypowiedzianego przez niego zaklęcia. Na osobności, bez świadków, bez sensu. Beznadziejnie i niepotrzebnie:

- On może nie przeżyć do jutra. Maria, jest źle. Wiesz?

Rozkładam i tasuję w głowie te słowa jak talię kart. Źle nie jest. Może, a więc nie musi. Przeżyć - znaczy żyć dłużej niż inni. Jutro muszę Go odwiedzić. Maria - to ja. Wiem. Choć nie chcę wiedzieć. Obciążona wiedzą, zachłystuję się nią jak tlenem podanym w nadmiarze. Wiem, choć mój rozum nie chce wiedzieć. Moje ciało wie lepiej. Przeczuwa, bo jest jego częścią. Jest szkatułką Jego genów, marzeń i pasji. Czy odchodząc, zabierze ze mnie to, co mam z Niego?

Znowu słyszę łopot skrzydeł. Płomykówki poruszają się bezszelestnie, by móc podlecieć niezauważenie do zdobyczy. Więc to nie szum piór. Ten dźwięk rodzi się we mnie. Odbija się od żeber i wielokrotnie wreszcie wypływa na powierzchnię. Wbrew mojej woli wypuszczają go ze mnie zdradzieckie usta. Potem zdradzą nie raz moją miłość do Niego. Oszukają, krzycząc, że nienawidzę.

- Nie płacz - odzywa się przy moim uchu. - Ona jest wolna.

Potem narysuje dla mnie białego ptaka o rdzawych brzegach skrzydeł ulatującego w stronę pociemniałego horyzontu, zza którego wygląda księżyc. I już zawsze wolność będzie miała dla mnie smak i zapach pełni na bezchmurnym niebie. Zanim wyjdzie do pracy, położy rysunek obok łóżka, żebym go znalazła i zapisała pod powiekami razem z pierwszymi promieniami słońca. Na zawsze.

Budzi mnie ruch na korytarzu. Potem nerwowe piknięcie termometru nad moim czołem. Beładne głosy w szarości poranka, jeszcze niepewnego, czy oślepić słońcem, czy zepsuć nastrój depresyjną powłoką chmur ciężkich od łez. Rozpiera mnie chemiczna radość, uzasadniony lekami optymizm nie mający oparcia w rzeczywistości. Leżę spokojnie, choć mam ochotę śmiać się w głos, gdy lekarka zakłada mi na palec pulsoksymetr. Niewidzialne impulsy penetrują moje tkanki, poszukując tlenu.

- Saturacja spadła, ale i tak panią wypuścimy. - Kilka razy przykładła mi do piersi stetoskop. - Szmer prawidłowy i lepiej się oddycha. Prawda?

Nie czeka na moją odpowiedź. Potakuję, choć wcale nie odczuwam lekkości oddechu. I wtedy przez szum powietrza swobodnie płynącego przez drogi oddechowe, przypominam sobie o Nim.

- Która godzina? - pytam, zauważając dopiero teraz, że lekarka jest młodziutka. Zbyt młoda, by wiedzieć o życiu cokolwiek więcej ponad to, że istnieje.

- Siódma dziesiątka.

Nie wiem dlaczego, ale czuję, że jest późno, za późno, choć dzień ledwie stawia pierwsze kroki. Oskrzela pobudzone adrenaliną zaczynają przypominać o wczorajszym ataku astmy. Kilka uspokajających oddechów, zanim lekarka zauważy. Muszę już iść.

Kiedy wychodzę na zewnątrz, czerwony świt uderza we mnie ostrym powietrzem, które kroi ledwie zagojone ściany oskrzeli na cienkie paski. Muszę odczekać, aż ból w piersiach minie. Telefon pokazuje siódmą trzydziestkę. Nie wpuszczają mnie do niego. Za wcześnie. A ja wciąż myślę, że za późno. Powracająca myśl nie wywołuje przygnębienia. Złośliwy troll ze strzykawki chichocze gdzieś wewnątrz. Dysonans poznawczy spowodowany lekami pewnie potrwa jeszcze jakiś czas. Kręcę głową i szukam kluczyków w torebce. Wsiadając do auta, mam już gotowy plan na resztę dnia. Odeśpię ukradziony przez astmę sen. Potem przygotuję się na wizytę w szpitalu. Powinnam tu być około czternastej. W uszach wciąż mam polekowy szum, który zagłuszam radiem. Nawet nie wiem, kiedy przecinam rzekę i tory kolejowe tnące miasto na pół.

W mieszkaniu, nie zdejmując ubrań, padam na kanapę i usiłuję zasnąć. Wszystko mnie rozprasza. Nie tylko dźwięki natrętnie czające się za ścianą jak szczekanie psa sąsiadów, krzyk dzieci na osiedlowym placu zabaw. Ale też te mniej oczywiste, jak szum krwi słyszany z perspektywy ucha wtulonego w poduszkę i pulsowanie budynku podskórnym rytmem ludzkich spraw. Czekam. Na sen. A kiedy wreszcie nadchodzi, zamazując kontury rzeczywistości, dźwięk telefonu stawia w stan gotowości każdą komórkę w moim ciele. Nieznośnie bolesne pulsowanie serca pobudzonego adrenaliną każe mi odebrać, jakbym oczekiwała na ten telefon.

- Halo! - rzucam w słuchawkę agresywnie. Niech rozmówca czuje respekt.

Ktoś nabiera powietrza w płuca i już wiem, że słuchawka wypluje informacje na jednym oddechu.

- Dzwonię ze szpitala. Przykro mi, ale pani ojciec zmarł dziś rano...

Za późno. Teraz wiem to na pewno. Śmierć nie czuje respektu przed nikim. Jej posłańcy też nie.

Stoję osłupiała z wciąż gadającą słuchawką w dłoni. Skamieniałe łzy nie chcą popłynąć. Zawrót głowy buja mnie w uspokajającym rytmie. Wracam po własnych śladach drogą, którą wytyczyłam ledwie godzinę temu. Ale to już jest inna droga, inna rzeczywistość.

Lekarze tłumaczą, że nie było szans, że słabe serce, niewydolność, niezdolność, niemoc, żeby żyć. Kiedy chcę go zobaczyć, mówią, że ciała już nie ma. Ale są rzeczy. Jakby ciało nie było rzeczą. Obce i zimne. Szczelne opakowanie, nierozzerwalnie przylegające do ducha. Tak z nim symbiotyczne, że jedno przestaje istnieć bez drugiego, gdy ktoś usiłuje je rozdzielić. Patrzę na kartę, którą wciśnięto mi siłą w dłoń. Czas zgonu: siódma dziesiątka - czytam pomiędzy milionem żałobnych znaków i kratek.

- Siódma dziesiątka - powtarzam. Byłam tu. Tak blisko i zbyt daleko. Coś tamuje oddech. Wolę, by to astma teraz mnie dusiła. Pielęgniarka prowadzi mnie do sali. Staję przed szafką, na której leży rysunek ptaka szybującego w stronę księżyca. Słyszę łopot skrzydeł. Nie. Płomykówka lata bezszelestnie. To tylko ja i mój płacz.

- Nie płaczę - mówię do siebie. - Jesteś wolny, tato.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Miazga, dodano 29.11.2018 11:15

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.